

dym? Pozwoli mi pan, że słuchając, przymknę oczy. Lepiej widzę sceny, jakie mnie opisują, gdy nic nie rozprasza mego wzroku. Ponadto, ponieważ rozmowa bardzo mi przeszkadza w skoncentrowaniu myśli, pan mi wybaczy, jeżeli ośmielę się podnieść do góry palec na znak, że proszę o chwilę ciszy dla skupienia się.

Odrzekłem mu, że na wszystko chętnie godzę się, byle tylko ułatwić mu zadanie, jakie przedsięwziął. Po załatwieniu tej przedwstępnej sprawy, oparł swą głowę na rękach, ja zaś przystąpiłem do swego opowiadania, które jednak nie wiele się różniło od tego, jakie na początku samemu uczyniłem. Młody człowiek siedział bez najmniejszego ruchu, gdy mu mówiłem o przywołaniu mnie z ulicy przez małą Klarę i o wejściu do pałacu. Podniósł jednak do góry palec, gdy mu opisywałem postawę pana Hardy'ego, jak stał oparty o biurko przed osunięciem się na podłogę.

— Czy nie dosłyszał pan żadnego szmeru w domu? — zapytał. — Żadnych podejrzanych kroków w westibulu lub w sąsiednich pokojach na parterze?

— Nie! Przypominam nawet sobie swe pierwsze wrażenie, zdawało mi się z początku, że starzec znajduje się sam w pałacu ze swą wnuczką. Wielkie też było moje zdziwienie, gdy m spostrzegłem, że w domu jest pełno służby i że wiele osób z rodziny znajduje się na wyższych piętrach.

— To nas sprowadza do pierwszego naszego punktu. Wychodzimy z założenia, iż pan Hardy znał tego, którego zbrodnica ręka wlała mu truciznę, która przyprawiła go o śmierć. Pytam się jednak, czy, o ile tak jest w istocie, nie wyjawiliby on otwarcie imienia tego z synów, którego uważał za winowajcę? Czy trzymałby się w dalszym ciągu tego niejasnego określenia, jakiego zmuszony był użyć, gdy mówił pannie Saugey o pierwszej próbie otrucia?

— Bardzo możliwe, że nie, lecz...

— Nie przykłada pan większej wagi do mego zapytania?

— Nie i oto dlaczego. Mimo całych chęci, by jak najjaśniej okazała się niewinność tych trzech młodych ludzi, zbyt dobrze pamiętam, jak wielki nacisk kładł na to, by Genowefa otrzymała ten kawałek papieru. Z tego wnioskuje, iż słowa, jakie na nim napisał, musiały mieć dla niego donioślejsze znaczenie, niż proste powtórzenie pierwotnych przypuszczeń. Wobec śmierci, która już na niego czyhała, miał jedną tylko myśl, jedno pragnienie: zawiadomić Genowefę, iż nie mylił się w swych pierwszych podejrzeniach, iż rzeczywiście jeden z synów chciał go wówczas otruci i że wreszcie udało mu się wykonać swój nieczyny zamiar.

— Może to wszystko jest i słuszne, zarzut mój jednak nie stracił nic na wadze. Mówi pan, że nie poświęcałby swych ostatnich myśli, swych ostatnich słów na proste powtórzenie młodej pannie podejrzenia, które ciągle podtrzymywał. Lecz w gruncie rzeczy, cóż więcej zawierał ten ostatni list? Czy pan Hardy mógł nie wiedzieć, że nie udało mu się napisać imienia, któreby oskarżeniu jego nadało wartość realną? Władze jego umysłowe nie były do tego stopnia przyćmione, by wyobrażał sobie, że wyraził coś konkretnego przez te słowa... en z moich synów...

— Nie sędzę. A jednak kto wie? Chociaż wejście jego było jeszcze wyraźne, nic nie dowodzi, że nie stracił on pamięci, jak stracił już z pewnością dar obserwacji. Widać to choćby z tego, iż dał mi tylko kawałek papieru, zamiast całego, który zawierał wszystkie słowa ostatniego jego listu.

— Wiem o tem — potwierdził Doucet ponuro.

— Mimoto zmuszony jestem wyznać, iż wywarł na mnie wrażenie, jakby władał jeszcze wszystkimi swymi zmysłami. Jestem przekonany, że gdybyśmy mogli zgłębić tę sprawę, znaleźlibyśmy klucz do zrozumienia całej tajemnicy, albo w samej treści tych słów, albo w sposobie, jakiego użył, by doszły one do Genowefy. Czy nigdy nie przyszło panu na myśl, że jest w tem coś dziwnego?

— Przepraszam pana — zawołał żywo młody agent. — I nas zastanowiło to także, dlaczego szu-

kał, że tak powiem, posłańca na ulicy, kiedy go miał w domu pod ręką.

— Ma pan na myśli małą Klarę?

— Tak.

— Klara jest dzieckiem. Mógł się obawiać, że zapomni lub się pomyli.

— Lecz poco wzywać nieznajomego? Dlaczego nie zawezwał służącego? Przecież, jeżeli wiedział, który z synów jest winowajcą, dlaczego nie posłał wnuczki po drugich?

— Lionel wyszedł, Jerzy był na poły pijany, a Alfred na drugim piętrze. Niech pan zwróci uwagę i na to, iż czuł on, że ma tylko kilka chwil na dopełnienie tego najważniejszego w swym życiu aktu.

— To prawda. A jednak jego postępek ma w sobie coś nienaturalnego, coś, czego nie mogę zrozumieć. Nie uważam się jeszcze za zwyciężonego. Przystąpiliśmy dopiero do rozważania szczegółów, z których spodziewamy się wydobyć jakieś cenne wskazówki. Idźmy więc dalej.

Doucet oparł znowu głowę na rękach, ja zaś



Młody człowiek siedział bez najmniejszego ruchu.

podjąłem swe opowiadanie od miejsca, na którym przerwałem.

— Zbliżając się do pana Hardy'ego, zauważyłem trzy rzeczy oprócz wyrazu bólu na jego twarzy i chwiejącej się postaci. Pierwsza była ta, iż roleta była podniesiona, druga, iż maszyna do pisania znajdowała się przed nim otwarta i trzecia, iż flaszeczka z klejem, przewrócona zapewne przez niego przed moim przyjściem, leżała koło maszyny, a zawartość jej wylała się na arkusz białego papieru. Żąda pan, bym nie opuszczał żadnego szczegółu, widzi też pan, iż czynię wszystko, by zaspokoić pańskie życzenie.

Gość mój podniósł cokolwiek palec. Nie wiedząc, czy chce mi tylko podziękować, czy też daje znak, bym zatrzymał się, postanowiłem zamilczeć.

— Widziałem klej — szepnął.

Uważając to za wezwanie do dalszego opowiadania, przedstawiłem mu wszystko aż do chwili, gdy opuścił roletę.

— Czy popatrzył pan wówczas przez okno? — zapytał Doucet, podnosząc palec.

— Owszem.

— I zobaczył pan Rozentala w jego pokoju. Czy był zwrócony do okna, czy stał plecami?

— Spacerował po swym pokoju.

— Jeden już punkt stwierdzony. Wypływa

z tego, iż w tej krytycznej chwili nie patrzył w stronę gabinetu pana Hardy'ego. Jeżeliby spostrzegł, że dzieje się tam coś niezwykłego, z ciekawości zatrzymałby się pewnie przy oknie.

— Zupełnie słusznie! Zauważył on tylko fakt wylewania zawartości kieliszka przez okno, nie przykładał jednak narazie do tego żadnego znaczenia.

Doucet znowu zamilkł, a ja opowiedziałem mu z wszelkimi drobiazgami bytność swą na wyższych piętrach, słowa, usłyszane przez półotwarte drzwi z pokoju Alfreda i wreszcie pierwsze spotkanie z Genowefą. Nagle spostrzegłem, że młody agent wcale mnie nie słucha. Podniósł głowę, lecz oczy jego, chociaż były zwrócone w moją stronę, patrzyły w próżnię. Od jakiegoś wewnętrznego wzruszenia drżał całym ciałem. Przerwałem swe słowa; milczenie, jakie nagle zapanowało, przywróciło go do rzeczywistości. Zerwał się z fotelu i zawołał:

— Chodźmy! Chodźmy do pałacu Hardy'ego, mam jedną myśl. Może nie wiele ona warta i możliwe, że to tylko me złudzenie, lecz chodźmy...

Nie dokończył zdania, dosyć już jednak powiedział, by zaostrzyć mą ciekawość. Prędko schwyciłem zarzutkę i kapełusz i wybiegliśmy na ulicę, gdzie dopiero przypomniałem sobie, iż nie zakręciłem elektryczności. Musiałem wracać, by to uczynić. Schodząc, spotkałem na schodach swego przyjaciela Dorlaixa, który mi szepnął na ucho:

— Poznałem gościa, który oczekuje cię na ulicy. Jeżeli macie zamiar zebrać dowody przeciw Lionelowi Hardy'emu, to z przykrością muszę ci powiedzieć, że daremny będzie twój trud, bo kto ma takie serce jak on, nie umie dolewać trucizny ojcu do wina.

Część drogi odbyliśmy, nie zamieniając z sobą ani jednego słowa. Douceta przejmowała myśl, która wywiodła nas z domu, ja zaś rozważałem najrozmaitsze przypuszczenia, jakie poddała mi końcowa nasza rozmowa. Przed dojściem jednak do pałacu zdecydowałem się na jedno pytanie:

— Czy w czasie tego śledztwa, któremu pan oddał się tak gorąco, przyszło panu na myśl poinformować się, do którego z trzech synów pana Hardy'ego stary Mateusz był najwięcej przywiązany?

— Nie... nawet... Lecz do czego zmierza to pytanie?

— Gdyż jeżeli nie jest to Lionel...

— Co do tego może pan być zupełnie pewny.

— W takim razie niech pan zwróci swą uwagę na tego, kto jest najbardziej przez niego lubiany.

Towarzysz mój zatrzymał się i spojrzał na mnie z widocznym zdziwieniem.

— Ciekawy jestem — rzekł — jaką to panu myśl podsuwa.

Opowiedziałem mu o spotkaniu swym na rogu ulicy z Mateuszem i o niezwyklej obojętności, z jaką stary sługa przyjął wiadomość o arestowaniu Lionela. Po wysłuchaniu mnie Doucet ruszył naprzód i tak

szybko, iż z trudem tylko mogłem nadążyć za nim.

— Jeżeli nie gonię błędnego ognika — odezwał się po chwili — jeżeli myśl moja rzeczywiście przyda się na co w wyjaśnieniu tej tajemnicy, sława ma zostanie ugruntowana.

Szybko minął podjazd pałacu i naciskał już guzik dzwonka elektrycznego, gdy ja dopiero wstępowałem na stopnie, wiodące do głównego wejścia. Stary Mateusz otworzył nam drzwi. Młody agent z najzupełniejszą swobodą przeszedł koło niego, nie odzywając się ani słowem. Widocznie przychodził tu tutaj już nieraz. Nie tak było ze mną. Służący spojrzął na mnie z tak wyraźnym zapytaniem w oczach, iż nie mogłem tego zbyć milczeniem.

— Prosta formalność — szepnąłem, czyniąc niewyraźny gest, jakbym wskazywał na to, iż potrzebny jestem Doucetowi.

Przechodząc, dosłyszałem, iż Mateusz mruknął kilka jakichś niewyraźnych słów; zrozumiałem tylko: „ciągle się kręca u nas“; potem otworzył nam drzwi do jadalnej sali. Razem z towarzyszem swym wszedłem do gabinetu pana Hardy'ego, gdzie Doucet się zamknął ze mną, odkręciwszy przedtem światło elektryczne.

Pokój ten pamiętałem dobrze, nie dlatego, bym w nim był już kilka razy, lecz ponieważ przyjrzałem mu się wówczas szczegółowo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)